

# Nawiedzenie

МИРТОСАДЫЯ.



BRUNO SCHULZ

SKLEPY CYNAMONOWE

# Nawiedzenie

## I

Już wówczas miasto nasze popadało coraz bardziej w chroniczną szarość zmierzchu, porastało na krawędziach liszajem<sup>1</sup> cienia, puszystą pleśnią i mchem koloru żelaza.

Ledwo rozpowity z brunatnych dymów i mgieł poranka — przechylał się dzień od razu w niskie bursztynowe popołudnie, stawał się przez chwilę przezroczysty i złoty jak ciemne piwo, ażeby potem zejść pod wielokrotnie rozczłonkowane, fantastyczne sklepienie kolorowych i rozległych nocy.

Mieszkaliśmy w rynku, w jednym z tych ciemnych domów o pustych i ślepych fasadach<sup>2</sup>, które tak trudno od siebie odróżnić.

Daje to powód do ciągłych omyłek. Gdyż wszedłszy raz w niewłaściwą sień i na niewłaściwe schody, dostawało się zazwyczaj w labirynt obcych mieszkań, ganków, niespodzianych wyjść na obce podwórza i zapominało się o początkowym celu wyprawy, ażeby po wielu dniach, wracając z manowców dziwnych i splątanych przygód, o jakimś szarym świecie przypomnieć sobie wśród wyrzutów sumienia dom rodzinny.

Pełne wielkich szaf, głębokich kanap, bładych luster i tandetnych palm sztucznych, mieszkanie nasze coraz bardziej popadało w stan zaniedbania wskutek opieszałości matki, przesiadującej w sklepie, i niedbalstwa smukłonożnej Adeli, która, nie nadzorowana przez nikogo, spędzała dnie przed lustrami na rozwlekłej toalecie, zostawiając wszędzie jej ślady w postaci wyczesanych włosów, grzebieni, porzuconych pantofelków i gorsetów.

Mieszkanie to nie posiadało określonej liczby pokoi, gdyż nigdy nie pamiętano, ile z nich wynajęte było obcym lokatorom. Nieraz otwierano przypadkiem którąś z tych izb zapomnianych i znajdowano ją pustą; lokator dawno się wyprowadził, a w nie tkniętych od miesięcy szufladach dokonywano niespodzianych odkryć.

W dolnych pokojach mieszkali subiekt<sup>3</sup> i nieraz w nocy budziły nas ich jęki, wydawane pod wpływem zmory sennej. W zimie była jeszcze na dworze głucha noc, gdy ojciec schodził do tych zimnych i ciemnych pokoi, płosząc przed sobą świecą stada cieni, ułatwiających bokami po podłodze i ścianach; szedł budzić ciężko chrapiących z twardego jak kamień snu.

W świetle pozostawionej przezeń świecy wywijali się leniwie z brudnej pościeli, wstawiali, siadając na łózkach, bosa i brzydkie nogi i ze skarpetką w ręce oddawali się jeszcze przez chwilę rozkoszy ziewania — ziewania przeciągniętego aż do lubieżności<sup>4</sup>, do bolesnego skurczu podniebienia, jak przy tęgich<sup>5</sup> wymiotach.

W kątach siedziały nieruchomo wielkie karakony<sup>6</sup>, wyogromnione własnym cieniem, którym obarczała każdego płonąca świeca i który nie odłączał się od nich i wówczas, gdy któryś z tych płaskich, bezgłowych kadlubów<sup>7</sup> z nagła zaczynał biec niesamowitym, pajęczym biegiem.

Zima

Miasto

Labirynt, Miasto, Dom

Dom

<sup>1</sup>liszaj — schorzenie skóry a. ubytki i plamy na płaskiej powierzchni, np. na tynku. [przypis edytorski]

<sup>2</sup>fasada — frontowa ściana budynku. [przypis edytorski]

<sup>3</sup>subiekt (daw.) — sprzedawca w sklepie. [przypis edytorski]

<sup>4</sup>lubieżność — rozpusta. [przypis edytorski]

<sup>5</sup>tęgi — tu: obfity. [przypis edytorski]

<sup>6</sup>karakon — karaluch. [przypis edytorski]

<sup>7</sup>kadlub (daw.) — tułów. [przypis edytorski]



W tym czasie ojciec mój zaczął zapadać na zdrowiu. Bywało już w pierwszych tygodniach tej wczesnej zimy, że spędzał dni całe w łóżku, otoczony fiolkami, pigułkami i księgami handlowymi, które mu przynoszono z kontuaru<sup>8</sup>. Gorzki zapach choroby osiadał na dnie pokoju, którego tapety gęstwiały ciemniejszym splotem arabesk<sup>9</sup>.

Wieczorami, gdy matka przychodziła ze sklepu, bywał podniecony i skłonny do sprzeczek, zarzucał jej niedokładności w prowadzeniu rachunków, dostawał wypieków i zapalał się do niepoczytalności. Pamiętam, iż raz, obudziwszy się ze snu późno w nocy, ujrzałem go, jak w koszuli i boso biegał tam i z powrotem po skórzanej kanapie, dokumentując w ten sposób swą irytację przed bezradną matką.

W inne dni bywał spokojny i skupiony i pogrążał się zupełnie w swych księgach, zabłąkany głęboko w labiryntach zawitych obliczeń.

Widzę go w świetle kopcącej lampy, przykucniętego wśród poduszek, pod wielkim rzeźbionym nadgłowieм łóżka, z ogromnym cieniem od głowy na ścianie, kiwającego się w bezgłośniejszej medytacji.

Chwilami wynurzał głowę z tych rachunków, jakby dla zaczerpnięcia tchu, otwierał usta, mlaskał z niesmakiem językiem, który był suchy i gorzki, i rozglądał się bezradnie, jakby czegoś szukając.

Wówczas bywało, że zbiegał po cichu z łóżka w kąt pokoju, pod ścianę, na której wisiał zaufany instrument. Był to rodzaj klepsydry wodnej albo wielkiej fiole<sup>10</sup> szklanej, podzielonej na uncje<sup>11</sup> i napełnionej ciemnym fluidem<sup>12</sup>. Mój ojciec łączył się z tym instrumentem długą kiszka<sup>13</sup> gumową, jakby krętą, bolesną pępowiną, i tak połączony z żalonym przyrządem — nieruchomiał w skupieniu, a oczy jego ciemniały, zaś na twarz przybladłą występował wyraz skupienia czy jakiejś występnej rozkoszy.

Potem znów przychodziły dni cichej skupionej pracy, przeplatanej samotnymi monologami. Gdy tak siedział w świetle lampy stołowej, wśród poduszek wielkiego łóżka, a pokój ogromniał w górze w cieniu umbr<sup>14</sup>, który go łączył z wielkim żywiołem nocy miejskiej za oknem — czuł, nie patrząc, że przestrzeń obrasta go pulsującą gęstwiną tapet, pełną szepców, syków i seplenień. Słyszał, nie patrząc, tę znową pełną porozumiewawczych mrugnięć, perskich oczu, rozwijających się wśród kwiatów małżowin usznych, które słuchały, i ciemnych ust, które się uśmiechały.

Wówczas pogrążał się pozornie jeszcze bardziej w pracę, liczył i sumował, bojąc się zdradzić ten gniew, który w nim wzbierał, i walcząc z pokusą, żeby z nagłym krzykiem nie rzucić się na oślep za siebie i nie pochwycić pełnych garści tych kędzierzawych arabesk, tych pęków oczu i uszu, które noc wyroiła ze siebie i które rosły i zwielokrotniały się, wymajaczając coraz nowe pędy i odnogi z macierzystego pępka ciemności. I uspokajał się dopiero, gdy z odpływem nocy tapety więdły, zwijały się, gubiły liście i kwiaty i przeredzały się jesiennie, przepuszczając dalekie świtanie.

Wtedy wśród świergotu tapetowych ptaków, w żółtym zimowym świcie, zasypiał na parę godzin gęstym, czarnym snem.

Od dni, od tygodni, gdy zdawał się być pogrążonym w zawitych konto-korrentach — myśl jego zapuszczała się tajnie w labirynty własnych wnętrzości. Wstrzymywał oddech i nasłuchiwał. I gdy wzrok jego wracał zbielały i mętny z tamtych głębin, uspokajał go uśmiechem. Nie wierzył jeszcze i odrzucał jak absurd te uroszczenia, te propozycje, które nań napierały.

Za dnia były to jakby rozumowania i perswazje, długie, monotonne rozważania, prowadzone półgłosem i pełne humorystycznych interludów<sup>15</sup>, filuternych<sup>16</sup> przekomarzań. Ale nocą podnosiły się te głosy namiętnej. Żądanie wracało coraz wyraźniej i donioślej

<sup>8</sup>kontuar — lada sklepowa. [przypis edytorski]

<sup>9</sup>arabeska — symetryczny, geometryczny ornament ze stylizowanych motywów roślinnych. [przypis edytorski]

<sup>10</sup>fioła — wąskie, wysokie szklane naczynie. [przypis edytorski]

<sup>11</sup>uncja — ang. jednostka objętości, ok. 28–29 cm<sup>3</sup>. [przypis edytorski]

<sup>12</sup>fluid — wg spirytystów substancja emanująca z ludzi i duchów. [przypis edytorski]

<sup>13</sup>kiszka — tu: długa rura o niewielkiej średnicy. [przypis edytorski]

<sup>14</sup>umbra — barwnik brunatnoczerwony. [przypis edytorski]

<sup>15</sup>interludium — instrumentalna wstawka muzyczna rozdzielająca poszczególne partie utworu. [przypis edytorski]

<sup>16</sup>filuterny (daw.) — figlarny, prowokujący. [przypis edytorski]

Ojciec, Tajemnica, Grzech

Ojciec, Szaleństwo, Prorok

i słyszeliśmy, jak rozmawiał z Bogiem, prosząc się jak gdyby i wzbraniając przed czymś, co natarczywie żądało i domagało się.

Aż pewnej nocy podniósł się ten głos groźnie i nieodparcie, żądając, aby mu dał świadectwo usty<sup>17</sup> i wnętrzościami swymi. I usłyszeliśmy, jak duch weń wstąpił, jak podniósł się z łóżka, długi i rosnący gniewem proroczym, dławiąc się hałaśliwymi słowy, które wyrzucał jak mitralieza<sup>18</sup>. Słyszeliśmy łomot walki i jęk ojca, jęk tyrana ze złamanym biodrem, który jeszcze urąga.

Nie widziałem nigdy proroków Starego Testamentu, ale na widok tego męża, którego gniew boży obalił, rozkraczanego szeroko na ogromnym porcelanowym urynale<sup>19</sup>, zakrytego wichrem ramion, chmurą rozpaczliwych łamańców, nad którymi wyżej jeszcze unosił się jego głos, obcy i twardy — zrozumiałem gniew boży świętych mężów.

Był to dialog groźny jak mowa piorunów. Łamańce rąk jego rozrywały niebo na sztuki, a w szczelinach ukazywała się twarz Jehowy, wzdęta gniewem i plująca przekleństwami. Nie patrząc, widziałem go, groźnego Demiurga<sup>20</sup>, jak leżąc na ciemnościach jak na Synaju, wsparłszy potężne dłonie na karniszu firanek, przykładał ogromną twarz do górnych szyb okna, na których płaszczył się potwornie mięsisty nos jego.

Słyszałem jego głos w przerwach proroczej tyrady mego ojca, słyszałem te potężne warknięcia wzdętych warg, od których szyby brzęczały, miesząc się z wybuchami zakłęb, lamentów, gróźb mego ojca.

Czasami głosy przycichały i zżymały się z cicha jak gaworzenie wiatru w nocnym kominie, to znowu wybuchały wielkim zgiełkliwym hałasem, burzą zmieszanych szlochów i przekleństw. Z nagle otworzyło się okno ciemnym ziewnięciem i płachta ciemności wionęła przez pokój.

W świetle błyskawicy ujrzałem ojca mego w rozwianej bieliźnie, jak ze straszliwym przekleństwem wylewał potężnym chlustem w okno zawartość nocnika w noc, szumiącą jak muszla.

## 2

Mój ojciec powoli zanikał, wiądl w oczach.

Przyknięty pod wielkimi poduszkami, dziko nastroszony kępami siwych włosów, rozmawiał z sobą półgłosem, pogrążony cały w jakieś zawile wewnętrzne afery. Zdawać się mogło, że osobowość jego rozpadła się na wiele pokłóconych i rozbieżnych jaźni, gdyż klócił się z sobą głośno, pertraktował usilnie i namiętnie, przekonywał i prosił, to znowu zdawał się przewodniczyć zgromadzeniu wielu interesantów, których usiłował z całym nakładem żarliwości i swady<sup>21</sup> pogodzić. Ale za każdym razem te hałaśliwe zebrania, pełne gorących temperamentów, rozpryskiwały się przy końcu wśród klątw, złorzeczeń i obelg.

Potem przyszedł okres jakiegoś uciszenia, ukojenia wewnętrznego, błogiej pogody ducha.

Znowu wielkie folianty<sup>22</sup> rozłożone były na łóżku, na stole, na podłodze i jakiś benedyktyński spokój pracy zalegał w świetle lampy nad białą pościelą łóżka, nad pochyloną siwą głową mego ojca.

Ale gdy matka późnym wieczorem wracała ze sklepu, ojciec ożywał się, przywoływał ją do siebie i z dumą pokazywał jej świetne, kolorowe odbijanki<sup>23</sup>, którymi skrzętnie wylepił stronicę księgi głównej.

Zauważyliśmy wówczas wszyscy, że ojciec zaczął z dnia na dzień maleć jak orzech, który zsyca się wewnątrz łupiny.

Zanikowi temu nie towarzyszył bynajmniej upadek sił. Przeciwnie, stan jego zdrowia, humor, ruchliwość zdawały się poprawiać.

<sup>17</sup>usty — dziś popr. forma D. Im.: ustami. [przypis edytorski]

<sup>18</sup>mitralieza (daw.) — wielolufowe działko szybkostrzelne. [przypis edytorski]

<sup>19</sup>urynał (daw.) — nocnik. [przypis edytorski]

<sup>20</sup>demiurg — w niektórych systemach religijnych twórca świata, który nie jest jednak tożsamy z najwyższym bogiem. Ponieważ demiurg nie jest ani wszechwiedzący, ani wszechmocny, a dokonany przez niego akt kreacji był aktem samowolnym, stworzony przez niego świat jest niedoskonały i pełen zła. [przypis edytorski]

<sup>21</sup>swada — płynność w mówieniu. [przypis edytorski]

<sup>22</sup>foliant a. foliat — gruba książka dużego formatu. [przypis edytorski]

<sup>23</sup>odbijanka a. kalkomania — obrazek przenoszony na kartkę ze specjalnie przygotowanego papieru. [przypis edytorski]

Ojciec, Proroctwo, Prorok

Ojciec, Dziecko, Szaleństwo

Często śmiał się teraz głośno i szczebiotliwie, zanosił się wprost ze śmiechu, albo też pukał w łóżko i odpowiadał sobie „proszę” w różnych tonacjach, całymi godzinami. Od czasu do czasu zląził z łóżka, wspinał się na szafę i przykucnięty pod sufitem porządkował coś w starych gratach, pełnych rdzy i kurzu.

Niekiedy ustawiał sobie dwa krzesła naprzeciw siebie i wspierając się rękami o poręcz, bujał się nogami wstecz i naprzód, szukając rozpromienionymi oczyma w naszych twarzach wyrazów podziwu i zachęty. Z Bogiem, zdaje się, pogodził się zupełnie. Niekiedy w nocy ukazywała się twarz brodatego Demiurga w oknie sypialni, oblana ciemną purpurą bengalskiego światła<sup>24</sup>, i patrzyła przez chwilę dobrotliwie na uspiętego głęboko, którego śpiewne chrapanie zdawało się wędrować daleko po nieznanym obszarach światów sennych.

Podczas długich, półciemnych popołudni tej późnej zimy ojciec mój zapadał od czasu do czasu na całe godziny w gęsto zastawione gratami zakamarki, szukając czegoś zawzięcie.

I nieraz bywało podczas obiadu, gdy zasiadaliśmy wszyscy do stołu, brakło ojca. Wówczas matka musiała długo wołać „Jakubie!” i stukać łyżką w stół, zanim wylazł z jakiejś szafy, oblepiony szmatami pajęczyn i kurzu, z wzrokiem nieprzytomnym i pograżonym w zawiłych, a jemu tylko wiadomych sprawach, które go zaprzętały.

Czasem wdrapywał się na karnisz i przybierał nieruchomą pozę symetrycznie do wielkiego wypchanego sępa, który po drugiej stronie okna zawieszony był na ścianie. W tej nieruchomej, przykucniętej pozie, z wzrokiem zamglonym i z miną chytrze uśmiechniętą trwał godzinami, ażeby z nagłą przy czymś wejściu zatrzepotać rękoma jak skrzydłami i zapiąć jak kogut.

Przestaliśmy zwracać uwagę na te dziwactwa, w które się z dnia na dzień głębiej wplątywał. Wyzbyty jakby zupełnie cielesnych potrzeb, nie przyjmując tygodniami pokarmu, pograżał się z dniem każdym głębiej w zawiłe i dziwaczne afery, dla których nie mieliśmy zrozumienia. Niedosięgły dla naszych perswazji i próśb, odpowiadał urywkami swego wewnętrznego monologu, którego przebiegu nic z zewnątrz zmącić nie mogło. Wiecznie zaferowany, chorobliwie ożywiony, z wypiekami na suchych policzkach, nie zauważał nas i przeoczał.

Przywykliśmy do jego nieszkodliwej obecności, do jego cichego gaworzenia, do tego dziecinnego, w sobie zatopionego świegotu, którego trele przebiegały niejako na marginesie naszego czasu. Wtedy już znikał niekiedy na wiele dni, podziewał się gdzieś w zapadłych zakamarkach mieszkania i nie można go było znaleźć.

Stopniowo te zniknięcia przestały sprawiać na nas wrażenie, przywykliśmy do nich i kiedy po wielu dniach znów się pojawiał, o parę cali mniejszy i chudszy, nie zatrzymywało to na dłużej naszej uwagi. Przestaliśmy po prostu brać go w rachubę, tak bardzo oddalił się od wszystkiego, co ludzkie i co rzeczywiste. Węzeł po węźle odluźniał się od nas, punkt po punkcie gubił związki łączące go ze wspólnotą ludzką. To, co jeszcze z niego pozostało, to trochę cielesnej powłoki i ta garść bezsensownych dziwactw — mogły zniknąć pewnego dnia, tak samo nie zauważone, jak szara kupka śmieci, gromadząca się w kącie, którą Adela co dzień wynosiła na śmietnik.

Ojciec, Ptak

Ojciec, Szaleństwo,  
Choroba

<sup>24</sup>bengalskie światła a. ogień bengalskie — rodzaj fajerwerków. [przypis edytorski]

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/sklepy-cynamonowe-nawiedzenie>

Tekst opracowany na podstawie: Bruno Schulz, Sklepy cynamonowe; Sanatorium Pod Klepsydrą, red. Zofia Smyk, Biblioteka Klasyki, Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 1996

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja wykonana przez Fundację Nowoczesna Polska.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aneta Rawska, Paulina Choromańska, Paweł Koziol.

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

**Wspieraj Wolne Lektury** i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.